OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

OSTATNIE WIADOMOŚCI KRAKOWSKIE

Prenumerata miesięczna zł. 1·95 z odbiorem w administracji

10 gr.

Rok V. Kraków, poniedziałek 1 kwietnia 1935 r. Nr. 91

W odmętach najgorszej nędzy i upodlenia

Straszliwa zbrodnia syna

Tam, gdzie dzieci naznaczone są piętnem przestępstwa

Ponura zbrodnia w Krzyżu pod Tarnowem, o której donosiliśmy we wczorajszym numerze, **ma swoją niesamowitą wymowę.** Stanisław Pypeć, ojciec licznego stada dzieci, z zimnem wyrachowaniem zamyka się w komorze z pięciorgiem maleństw. Ustawiwszy miskę pośrodku podłogi, **wiąże swe dzieci, jak barany na rzeź, i pokolei zarzyna je nad naczyniem...** Po zbrodni układa na podłodze trupki wedle starszeństwa, jak towar przesegregowany na targ... Czy może być okrutniejsza planowość w zbrodni?

PRZEKLĘTA RZECZYWISTOŚĆ

Na mord ojca pod Tarnowem nie można patrzeć jedynie pod kątem widzenia patologji. **Tam jest coś więcej, co musi przerazić społeczeństwo.** Jeży włosy na głowie zwykłego czytelnika gazet, a społecznika musi naprowadzić na trop przeklętej, złej rzeczywistości, którą trzeba **naprawić.**

Dlaczego chłop uśmiercił swe dzieci? Odpowiada sam, że stracił **pracę**, dach nad głową i wolał niezaradne maleństwa sam wysłać na tamten świat, niż czekać na ich śmierć głodową. Może to jest metoda obrony, o co wypada go podejrzewać, skoro zuradził **tyle metody w zbrodni**, ale... ile nieszczęścia i przestępstw dokonało się w ostatnich latach na tle bezrobocia i eksmisyj?! Kto może z czystem sumieniem oskarżać zbrodniczego chłopa tylko o złe instynkty, nie biorąc pod uwagę pobudek, które go pchnęły do ohydy? **Kto zapomni o środowisku, o warunkach społecznych i gospodarczych, które rodzą zbrodnię?**

Przed odpowiedzią pomyślcie o Annopolu. Taki tarnowski Krzyż jest tutaj utysiączniony! **Rodzin**, podobnych do rodziny Stanisława Pypcia, jest na wydmach praskich kilka tysięcy, **warunki, w jakich Pypeć mordował swe dzieci, trwają od wielu lat.** Annopolski Krzyż ma Pypciów bez liku.

Zaczęliśmy wczoraj zaglądać do ciasnych i przeludnionych izb baraków annopolskich. Mając w pamięci tarnowską zbrodnię, zawiedziemy czytelnika dalej.

DZIECKO ZABITE W ŁONIE MATKI PRZEZ SYNA

W dusznej komnacie na łóżku bez pościeli leży wynędzniała kobieta, a jej woskowa cera sprawia upiorne wrażenie. Jest matką siedmiorga dzieci. Najstarszy syn już dawno opuścił dom i założył własną rodzinę, kilkoro drobiazgu kręci się po pokoju. Najmłodsze — trzeba powiedzieć potworną prawdę!— **zostało zabite przez wyrodnego syna w łonie matki.** Pióro odmawia posłuszeństwa, gdy obowiązek każe o tem pisać. Niech więc mówi za siebie nieszczęśliwa kobieta:

— Skatował mnie okrutnie! Bił mnie dużo razy, ale ostatnie bicie przeszło już granice! Skopał mnie, stłukł i stało się nieszczęście. Jeszcze mu tego mało i ciągle się odgrazuje! — kobiecina płacze. Po chwili uspakaja się i ciągnie swą opowieść dalej:

— Już nie wiem co będzie. Chyba przyjdzie skończyć marnie! Wczoraj zapowiedział mi:

— Sprałem i jeszcze żyjesz, to teraz **kupię lewelwer i cały magazyn kul w łeb ci wpakuję!**

Nieszczęśliwa już płakać nie może i tylko jęczy głucho.

— Powiedźcie państwo samo, jaki to syn! Rodzonej matce chce cały magazyn kul w łeb wpakować...

— A gdzie jest mąż pani?

— **W** przymusowym domu pracy, odsiaduje 6 miesięcy! — odpowiada bez przekonania.

— Za co?

— Za żebraninę!

Ktoś przysuwa się bliżej i rzuca uwagę szeptem:

— **W** kreminale siedzi, a nie w domu pracy. Za złodziejstwo wpakowali go do mamra...

— Jakże się chowają dzieci?

— Dzieci w anemji. Nie przyjdzie im długo żyć! Co ja mogę poradzić? Higjenistka szkolna odesłała mi córkę, bo jakąś dezynfekcję trzeba zrobić, a **ja nawet mydła nię mam, by ją umyć.** Co poradzę? Dziewczyna będzie siedziała w domu i tyle dezynfekcji! Gdyby nie obiady z „dobroczynności", pomarlibyśmy z głodu!

— A z kuchni magistrackiej nie bierzecie obiadów?

— Jakie tam obiady! Bierze się, ale trudno zjeść, bo **w zupie pływają robaczki.**

— Co będzie dalej?

— Bóg jeden tylko wie! Może się poprawi, jak wróci stary...

A teraz powiedźcie sami: Czem się różni Annopol od Krzyża podtarnowskiego?

„UCZCIWA NĘDZA"

Na korzyść Annopola trzeba powiedzieć (chyba o Krzyżu to samo!), że **mieszka w nim również „uczciwa nędza".** Określenie to wyrwało się z pod pióra jakoś samo i ma ono uzasadnienie w umytej podłodze mieszkanka Otrębskich. **Myła ją kobie brzemienna,** matka kilkorga drobiazgu. Jeszcze jedno rychle zakwili w izbie. Czy pierwsze spojrzenie na świat nie przerazi je na całe życie?

— Pan pracuje? — pytamy ojca rodziny.

— Gdzietam! Od 3 lat jestem bezrobotny. Ostatnio pracowałem, jako szlifierz polerowy.

— Z czego żyjecie?

— Bierze się obiady z opieki. Gdyby jednak nie dodatkowe zupy z „Caritasu", dawnoby już nas nie było!

— Które są lepsze?

— Rozumie się, że z „Caritasu". Taki obiad, to nawet od grzać można.

— Z przeproszeniem, zaraz dzieciaka „przeczyści", jak zje zupę z opieki! — dodaje nieśmiało Otrębska.

DOBRE SERCE NĘDZARZY

— I proszę sobie wyobrazić, że ci dobrzy ludzie, **mając dość własnej nędzy, wzięli na wychowanie sierotę po siostrze!** — uzupełnia rozmowę p. mecenasowa Tonn-Jakubowiczowa. Pani Otrębska! Mówcie, jak to było!

— Ano tak: Siostra męża z nędzy chodziła na kradzież węgla. Pół roku temu **wpadła pod pociąg i zabiło ją.** Zabraliśmy sierotę, aby ją wychować. Przecież inaczej zmarnowałby się chłopak!

— Czy i on chodził z matką „na węgiel"?

— A chodził! Nawet dziwno mu było, że można tego nie robić i żyć! **Nie wiedział, że to złe, że to kradzież** i trzeba było mu wmówić, że nie wolno kraść! Teraz o węglu już nie myśli, bo to grzech...

Tak ratuje się „uczciwa nędza" przed występkiem. Ilu rodzinom może służyć za przykład ofiarnej miłości bliźniego? Ilu rodzinom zamożnym?

TRZEBA RATOWAĆ!

Są więc ludzie na Annopolu, których **można i trzeba ratować.** Aby tę ideę przeprowadzić, Tow. „Caritas" zamierza wybudować na Annopolu „Dom Ludowy", powodując się następującemi przesłankami (cytujemy je z publikacji: „Caritasu" pod dyrekcją ks. dr. Wł. Lewandowicza):

„Annopol jest bezsprzecznie wielkiem niebezpieczeństwem społecznem dla Warszawy, jako całości.

Młode pokolenie na Annopolu jest gorsze od pokolenia starszego.

Środki ratunkowe dla Annopola winny być w pierwszym rzędzie zastosowane w stosunku do młodych.

Aby nie być posadzonym o gołosłowność zarzutów, które wysunęliśmy, pozwolimy sobie przytoczyć następujące dane:

Starsze pokolenie annopolskie, równie nieszczęśliwe, jak młodsze i najmłodsze, ma jednak tę choćby słabą pociechę, że pamięta jeszcze o czasach lepszych, kiedy mieszkało wśród normalnych ludzi i w normalnych warunkach społecznych.

ZRODZENI Z NĘDZY

Młodzież annopolska i tamtejsze dzieci zrodziły się z nędzy i w nędzy. Całe życie tej części ludności annopolskiej, od powicia, upływa w atmosferze nędzy i rozpaczy. Ponieważ zaś te dwa źródła są zawsze przyczyną zbrodni, więc dzieci i młodzież annopolska od najmłodszych lat wśród zbrodni wzrastają i dorastają.

Ilustracją chociażby tylko dorywczą tej smutnej prawdy, niech będzie fakt, oparty na danych sądowych: 80 PROCENT DZIECI I MŁODZIEŻY ANNOPOLSKIEJ W WIEKU LAT 12 DO 18 KARANYCH BYŁO SĄDOWNIE. Ten rodzaj ludności annopolskiej stanowi około połowy pełnej liczby mieszkańców „dzielnicy zadżumionych". Dzieci od lat czterech i pięciu eksploatowane są przez rodziców w charakterze żebraków, wyprowadzanych na ulice w centrum Warszawy, dziewczynki dwunasto i czternastoletnie są eksploatowane (nierzadko przez własnych rodziców), jako „żywy towar", przynoszący zyski.

HODOWLA ZBRODNIARZY

Wyżej przytoczone względy, aż nadto wyraźnie ilustrują ogrom nieszczęścia, którego doświadcza na sobie dziecko i młodzieniec na Annopolu. Dzielnica ta stała się bezsprzecznie HODOWLĄ ZBRODNIARZY, o tem niebezpieczniejszych, że od kolebki pozbawionych jaśniejszego promienia.

To pokolenie ma prawo żądać pomocy i opieki. Co gorsza, to pokolenie byłoby niejako usprawiedliwione i upoważnione do zbrodni, gdyby pomoc od bardziej szczęśliwych współmieszkańców stolicy nie nadeszła szybko.

„Caritas" pragnie ją przynieść!"

Trzeba więc z całych sił pomóc „Caritasowi".

Jack Bury.

Ponure szczegóły mordu w Krzyżu

Chciał zabić dziewięcioro dzieci

Potworna zbrodnia zamordowania 5-ga dzieci, dokonana w Krzyżu koło Tarnowa przez Stanisława Pypcia, nie przestaje być tematem rozmów w Tarnowie i okolicy.

W czasie zeznań Pypeć oświadczył, że **zbrodni dokonał zpowodu utraty pracy.** Pypeć pracował przez 28 lat jako fornal w zarządzie dóbr ks. Romana Sanguszki, gdzie następnie w ciągu ostatnich trzech lat był stróżem nocnym. Z pracy wydalony został za kradzieże i zaniedbania w służbie oraz podrobienie kluczy do zegarów kontrolnych.

Pypeć, utraciwszy posadę postanowił wymordować wszystkie swoje dzieci. **Dzieci, które pozostały przy życiu, uniknęły śmierci tylko dzięki przypadkowo,** bo 11-letna córeczka była w szkole, dwoje innych pracowało w polu, a najstarszy syn był z matką w Tarnowie.

Pypeć robi wrażenie psychopaty.

Eden konferował ze Stalinem

MOSKWA, (PAT). Spotkanie Edena ze Stalinem odbyło się w gabinecie Mołotowa na Kremlu w obecności Chilstona, Stranga, Mołotowa, Litwinowa i Majskiego. Rozmowa trwała przeszło godzinę i dotyczyła wszystkich spraw omówionych uprzednio z Litwinowem.

Eden oświadczył, że **rozmowa ze Stalinem wywarła na nim duże wrażenie,** przyczem wyraził zadowolenie z ogólnego przebiegu obrad moskiewskich. Eden odmówił udzielenia bardziej szczegółowych informacyj, ponieważ o całości rozmów zostanie wydany wspólny komunikat oficjalny w ostatnim dniu pobytu Edena w Moskwie, t. j. w niedzielę.

Belgja przeprowadza dewaluację

BRUKSELA, (PAT). Już onegdaj naskutek zamknięcia giełdy brukselskiej było wiadome, że dewaluacja franka belgijskiego zostałe zdecydowana, lecz liczono jeszcze na to, że rząd wobec ogromu niepopularności tego kroku w kraju znajdzie jakieś inne wyjście z niezwykle ciężkiej sytuacji gospodarczej.

Wszystkie te wątpliwości wyjaśniła w dniu wczorajszym kategoryczna deklaracja nowego rządu. Nie mówi ona o konieczności przeprowadzenia dewaluacji, lecz stwierdza, że istnieje ona już od kilkunastu dni, to jest od chwili, gdy premjer Theunis wprowadził ograniczenia dewizowe. Kurs dewiz notowany na giełdzie brukselskiej i zagranicą był zupełnie inny i dlatego też nowy rząd stanął właściwie wobec faktu dokonanego.

Belgia, pozostając jednak wierna zasadzie oparcia waluty na złocie, starać się będzie, aby został zawarty układ międzynarodowy, na podstawie którego zostaną ustalone główne waluty światowe, nie na tej samej stopie co dziś, lecz mniejszej od obecnej najwyżej o 30 proc.

Rewizje w klasztorach niemieckich

BERLIN, (PAT). Urzędowo potwierdzają, że w połowie marca w licznych klasztorach katolickich na obszarze Rzeszy policja dokonała rewizyj, aresztując szereg duchownych, zakonników i zakonnic pod zarzutem ciężkich przekroczeń dewizowych.

Według komunikatu urzędowego, skarb Rzeszy poszkodowany jest na sumę 2 i pół miljona marek. Bliższych szczegółów władze narazie odmawiają, tłumacząc się tajemnicą śledztwa.

16.000 złotych miesięcznie

To się nazywa pensja!

W dniu wczorajszym w Wydziale Handlowym Sądu Okręgowego w Katowicach odbyła się rozprawa b. generalnego dyrektora Katowickiej Spółki Akcyjnej dr. Tomali przeciwko nadzorowi sądowemu koncernu „Wspólnoty Interesów" o wypłacenie dr. Tomali dawniejszych poborów w wysokości 16.000 zł. miesięcznie.

Po wywodach stron, przewodniczący zapowiedział ogłoszenie wyroku w dniu 12 kwietnia.

Listy z Czechosłowacji

OBRONA PRZED ATAKIEM LOTNICZYM

(Korespondencja własna „Ostatnich Wiadomości")

Praga, w marcu.

Rząd czechosłowacki przedłożył sejmowi projekt ustawy o ochronie ludności przed atakami lotniczemi.

W motywacji znajdujemy następujące zdanie: „Szczere pragnienie pokoju nie oznacza, że nie należy przedsiębrać wszelkich środków przeciw burzycielom pokoju".

Zdanie to jest charakterystyczne dla obecnych nastrojów w Czechosłowacji, która będąc sama

krajem wybitnie pacyfistycznym

oddawała się w ciągu szeregu lat powojennych złudzeniu, że ze strony innych nic jej nie grozi.

A przecież wystarczy tylko popatrzeć na mapę: od północy i zachodu Niemcy, od południa Austrja i Węgry.

Nietylko Praga, lecz także wszystkie ośrodki przemysłowe mogą być

w ciągu pół godziny zaatakowane

przez nieprzyjacielską flotę powietrzną.

Ustawa zobowiązuje zarówno budowniczych, jak i właścicieli domów do urządzania odpowiednich schronów podziemnych.

To samo odnosi się również do urzędów, do właścicieli zakładów przemysłowych i t. p. Osoby prywatne winny zakupić potrzebną ilość masek dla siebie i rodziny. Również na gminy nakłada się obowiązek budowy schronów publicznych, oraz zakupu odpowiedniej ilości masek. Ustawa przewiduje możliwość zupełnego lub częściowego wywłaszczenia zarówno nieruchomości, jak i ruchomości, odszkodowanie za wywłaszczenie i wreszcie sankcje karne za odnośne przestępstwa.

Powstaje pytanie, dlaczego rząd czechosłowacki przyszedł z projektem ustawy dopiero teraz.

Niebezpieczeństwo ataków lotniczych było już znane w czasie wielkiej wojny, a technika powojenna poczyniła pod tym względem duże „postępy". Opóźnienie projektu da się do pewnego stopnia wytłumaczyć tem, że przed kilkoma laty jeszcze nie wiedziano, jakie schrony są bardziej celowe: masowe, czy grupowe. W ostatnich czasach zwyciężył pogląd, że

schrony małe,

w których można umieścić mniejszą ilość ludzi z bezpośredniej okolicy, bardziej odpowiadają swemu zadaniu. Mówi się, że wkrótce każdy dom będzie musiał mieć własny schron, gdyż inaczej nie znajdzie nabywcy ani lokatora.

Budowa schronu równocześnie z budową domu nie będzie przedstawiała zbyt wielkich trudności. Inaczej rzecz ma się z dobudowywaniem schronów w domach już wybudowanych. Tutaj zachodzi pytanie, kto poniesie koszta budowy tych schronów i jak wielkie te koszta będą. Nie chodzi bowiem tylko o beton czy żelazobeton, lecz także o różnego rodzaju instalacje. Instalacje już istniejące nie wchodzą zupełnie w rachubę. Przez dobry schron, odpowiadający wszystkim wymaganiom, nie może prowadzić ani wodociąg, ani gazociąg, ani kanalizacja. Każdy schron musi być wyposażony we własne źródła światła,

aparaty do odtruwania powietrza.

wentylację, akumulatory i wreszcie krzesła i łoza, nie mówiąc już o pewnych chociażby małych zapasach żywności. Wyłoniła się również myśl przeniesienia na wypadek wojny poczty, ministerstw i t. p. do schronów podziemnych. Przemysł chemiczny powinien postarać się o dostateczny zapas chlorku wapnia, sody żrącej, oraz ścieśnionego tlenu.

Koszty tego wszystkiego będą olbrzymie i

pochłoną miljardy.

Czy można będzie w krótkim czasie tak wielkie kapitały zmobilizować, niewiadomo. Ośmielamy się nawet wątpić. Było to rzeczą znacznie łatwiejszą przed 9 — 12 laty, kiedy ruch budowlany w Czechosłowacji był w największym rozmachu. Łatwiej byłoby wtedy wkalkulować do budowy domu budowę schronu. A domów nowych zbudowano w Czechosłowacji od tego czasu dziesiątki tysięcy.

Jeżeli się uda znaleźć środki materjalne, środków technicznych i rąk roboczych nie zabraknie.

Jakkolwiek niemało jest rzeczoznawców, którzy na skuteczność schronów i masek zapatrują się sceptycznie, jednak urzeczywistnienie projektu rządowego

ożywiłoby cały szereg przemysłów

do tego stopnia, że Czechosłowacja znalazłaby się na progu nowego cyklu konjunktury.

Już chociażby tylko z tego punktu widzenia jest projekt rządowy, nie tyle w założeniu ile w ewentualnych następstwach, bardzo doniosły.

(l. s. p.)

Kradł aby hulać

Tańce, hulanki, wino, śpiew i kobiety — oto dewiza życia 42-letniego Mieczysława Płoskiego.

Urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Ojciec — zamożny ziemianin pow. konińskiego — dał Płoskiemu należyte wykształcenie. Po skończeniu wyższych studjów — Mieczysław Płoski, mimo zasobów pieniężnych, jakie czerpał od ojca, zajął miejsce urzędnika Urzędu Pożyczek Państwowych.

Pijatyki i hulanki pochłaniały duże sumy. Płoski płacił rachunki w restauracjach, sięgające kilkuset nieraz złotych. Nie dziw więc, że pomoc ojca i gaża urzędnika nie mogły zaspokoić potrzeb hulaki. Sięgnął wówczas po nie swoje. Przywłaszczył obligacje 5-cio procentowej Pożyczki Konwersyjnej z 1924 r., ogólnej wartości nominalnej 55.000 zł. i spieniężył je na własną korzyść.

Sąd Okr. skazał Płoskiego na 2 lata więzienia; wczoraj Sąd Apelac. wyrok ten zatwierdził.

Śmierć z ręki wyśmianego kochanka

Młody, zaledwie 19 lat mający Stanisław Dębkowski poznał złą, zepsutą i znacznie starszą od siebie kobietę, niejaką Teofilę Świtałową.

Wykorzystując niedoświadczenie życiowe młodego chłopca — Świtałowa potrafiła wzbudzić ku sobie zaufanie, a następnie **wzniecić w jego sercu płomień miłości.**

Wkrótce przebiegła kobieta ściągnęła Dębkowskiego do swego mieszkania w Bukowcu pod Jabłonną, mianując go łaskawie którymś tam z kolei kochankiem.

Wszystko to zrobione było dla zrealizowania własnych planów. Przedewszystkiem Świtałowej zależało na wypompowaniu gotówki ze skromnej kieszeni młodzieńca, co jej się z powodzeniem udało, a następnie **zamierzała użyć go do zabicia byłego jej kochanka post. Krupskiego. Do tej zbrodni gorąco go namawiała, a nawet wręczyła mu rewolwer, by zastrzelił wskazaną ofiarę.** Dębkowski na szczęście zamachu nie dokonał, a przekonawszy się, że Świtałowa wiedzie żywot hulaszczy i noce spędza z innymi mężczyznami, postanowił z nią stanowczo się rozmówić.

W dniu 1 września ub. r., gdy Dębkowski, jak zwykle, wrócił do domu, Świtałowa nie chciała go wpuścić, przyczem **groziła oblaniem kwasem siarczanym w razie, gdyby usiłował dostać się do wnętrza.** Nie zważając na groźby — Dębkowski wszedł przez okno. Świtałowa zachowała się wyzywająco i, opowiedziawszy mu szczegóły z nocy, spędzonej z obcym mężczyzną, **uderzyła go w twarz i śmiała się zeń do rozpuku.** Ta prowokacja była ponad siły Dębkowskiego. Coś go zamroczyło. Błyskawicznym ruchem **sięgnął pod poduszkę po rewolwer i trzykrotnie strzelił do przewrotnej kobiety. Świtałowa, trafiona w serce poniosła natychmiastową śmierć.** Widząc bezwładnie padające ciało kochanki — **Dębkowski skierował lufę rewolweru we własną pierś, raniąc się ciężko w płuco.**

Sąd Okr., mając na uwadze dotychczasową niekaralność Dębkowskiego, jego stan podniecenia, wywołany prowokacyjnem zachowaniem się denatki, jego młody wiek, środowisko, w jakie wciągnęła go Świtałowa, oraz zgubny wpływ, jaki nań wywarła — skazał zabójcę na **2 lata więzienia.**

Wczoraj Sąd Apelac. w Warszawie, rozważywszy wszystkie okoliczności sprawy, aczkolwiek zatwierdził wyrok I instancji, to jednak postanowił resztę nieodcierpianej kary zawiesić na okres dwuletni. Jutro zatem Dębkowski opuści mury więzienne i może jeszcze się otrząśnie z tych brudów, w które go pogrążono...

Z siekierą w obronie moralności

Przed Sądem Apelac. w Warszawie stanął wczoraj 21-letni Zdzisław Bober, skazany przez Sąd I instancji na 5 lat więzienia za usiłowanie zabójstwa rodziców.

Przyczyny gwałtownego starcia, jakie miało miejsce w dniu 21 września ub. r. w mieszkaniu Bobrów, przy ul. Barskiej Nr. 8 — Bober w ten sposób opisuje:

Nie usiłowałem zabić, ani nie groziłem rodzicom zabójstwem — zaczął Bober. Przyczyną awantury, którą wywołałem było forytowanie przez rodziców kochanka mej siostry i matki, która szczególniej mu dogadzała różnemi przysmakami. Ja byłem na ostatniem planie. Tak było w dniu 21 września. On, ten kochanek dostał gorącą kolację — zaś mnie matka dała jakieś ochłapy. Miałem tego dosyć, tem więcej, że i względy moralności zmusiły mnie do wystąpienia. Na znak protestu stłukłem garnek, a następnie siekierą począłem rąbać łóżko. Ojciec w popłochu skoczył z balkonu I piętra i złamał sobie nogę. Matka, widząc moje zdenerwowanie, wyrwała mi siekierę i wyrzuciła na ulicę.'

Ojciec oskarżonego, uchylił się od złożenia zeznań, natomiast matka, najwidoczniej powodowana chęcią zemsty, złożyła obciążające zeznania. Na nich właśnie Sąd I instancji oparł skazujący wyrok.

Sąd Apelac. dał pełną wiarę słowom oskarżonego, uchylił wyrok i z zarzutu usiłowania zabójstwa rodziców Bobra uniewinnił.

Cudak nad Wisłą

(A. E.). Na warszawskim brzegu Wisły, niedaleko mostu kolejowego, stał pan Kazimierz Cudak z wędką w ręku i bacznie wpatrywał się w wodę.

W blaszance miał już dwie złowione płotki i z utęsknieniem czekał na dalsze.

Panowała cisza, niezbędna dla dobrego połowu.

W pewnym momencie do rybaka zbliżył się pan Stefan Jezierski ze swym przyjacielem.

— Oho! Już pan dwie rybki złowił! — zawołał pan Stefan.

— Cicho — rzekł rybak — ryby pan wypłoszysz.

Ale pan Stefan, jako że był przygłuchy, nie umiał mówić cicho.

— Cóż to pańskie płotki takie delikatne? — krzyknął tubalnym głosem. — Mówić głośno nie wolno?

— Idź pan sobie stąd — rzekł rybak — nie przeszkadzaj mi pan.

Korek na wodzie poruszył się niespokojnie.

— Ciągnij pan!! — wrzasnął pan Stefan. — Ryba!

Rybak sponsowiał.

— Panie, pójdziesz pan sobie do jasnej cholery? Ryba mi przez pana uciekła. Żeby to człowiek nie umiał cicho mówić, tylko ryczał, jak ta trąba!

— Pójdziemy — rzekł przyjaciel pana Stefana. I obaj młodzieńcy ruszyli z miejsca. Ale po chwili pan Stefan zatrzymał się.

— Feluś — zawołał — widziałeś, jakie ja ładne kaczki puszczam?

— Ale możebyśmy trochę dalej odeszli, żeby rybakowi nie przeszkadzać? — rzekł pan Feluś.

— Dalej niema dobrych kamieni, a tutaj patrz, ile płaskich. A zresztą, co to rybom przeszkadza? Mało to w Wiśle kamieni?

Pan Stefan chwycił kamień i cisnął go w wodę.

— Widziałeś — krzyknął. — Cztery kaczki!

Po chwili rzucił w wodę drugi kamień, a po nim jeszcze jeden.

Pan Kazimierz, widząc, co się dzieje, rzucił wędkę i podbiegł do specjalisty od puszczania kaczek. Wymierzył mu parę tęgich kopniaków, później chwycił go jedną ręką za kołnierz, a drugą za spodnie i wrzucił go do wody.

Wtedy pan Stefan, choć przy brzegu było płytko, narobił takiego wrzasku, że przez cały dzień ani jednej płotki nie można było w Warszawie złowić.

Sąd grodzki skazał pana Kazimierza Cudaka na dwa dni aresztu. Niech się rybki cieszą.

Echa nadużyć w Księgarni Wojsk.

W Sądzie Apelacyjnym w Warszawie, odbyła się wczoraj powtórnie sprawa przeciwko Irenie Monkiewiczowej, jednej ze współoskarżonych o sprzeniewierzenie 4.600 zł. z kasy Głównej Księgarni Wojskowej w Warszawie.

Względem wspólników oskarżonej, a mianowicie Bartosiewiczowi, Zielińskiemu i Rozbickiemu, wyroki już się uprawomocniły. Monkiewiczowa, jako pomocnica kasjerki wyrokiem Sądu Apelac. została uznana winną przywłaszczenia 600 zł. i udziału w kradzieży owych 4.600 zł. i skazana została łącznie na rok więzienia. Po skasowaniu wyroku przez Sąd Najwyższy — Sąd Apelac. powtórnie tę sprawę rozważył. Mając na uwadze, iż zdefraudowaną kwota 4.600 zł. została zwrócona przez oskarżonych — złagodził karę Monkiewiczowej w tym punkcie do 4 miesięcy więzienia, zaś za przywłaszczenie 600 zł. skazał na 4 miesiące więzienia, orzekając jednocześnie w tej wysokości karę łączną.

Fałszywe oskarżenie

Przed kilku laty powstała w Gdyni spółka akcyjna „Mopol", która miała na celu zorganizowanie dalekomorskich połowów śledzi.

Monopol połowów śledzi na morzu Północnem dzierżyli w swych rękach Anglicy. Zadaniem spółki „Mopol" było stworzenie polskiej floty rybackiej. Firma „Mopol" zobowiązała zatrudniać i szkolić rybaków wyłącznie zpośród kaszubów, z drugiej strony Ministerstwo Skarbu i Ministerstwo Przemysłu i Handlu udzielały znacznych zniżek celnych na śledzie importowane przez firmę „Mopol", a także premij za każdego wyszkolonego rybaka.

W zeszłym roku wpłynęło do władz doniesienie, że firma „Mopol" wcale nie urządza połowów ani wypraw rybackich na dalekie morza, ale poprostu zakupuje w portach zagranicznych solone śledzie w beczkach i przemyca je do kraju, korzystając ze zniżek celnych.

Przeciwko dyrektorom firmy wytoczono śledztwo, a magazyny jej opieczętowano. Dyrektorzy firmy wskazywali, że padli ofiarą zemsty ze strony donosiciela, którym był urzędnik sp. „Mopol" Korzeniowski, zwolniony za defraudację.

W toku śledztwa dyrektorzy firmy dziennikami okrętowemi udawadniali, że kutry rybackie dokonywały połowów na morzu Północnem, a załoga ich składała się z Polaków.

Jednocześnie Korzeniowski został skazany na 7 miesięcy aresztu za defraudację.

W tym stanie rzeczy prokurator umorzył śledztwo w stosunku do Kamieńskiego i dyrektorów holenderskich firmy „Mopol".

Wesoły Kącik

W UBEZPIECZALNI

W ubezpieczalni społecznej tłok. Chorzy oczekują tak samo, jak za czasów chorej kasy, godzinami na przyjęcie u lekarza domowego. Wśród pacjentów uwija się jak fryga woźny pan Stanisław, jest on przytem uprzejmy, rozmowny, doprawdy anioł stróż, nie woźny! Że świecą takiego szukać w biały dzień.

— Szanowny pan już trzy godzinki czeka, dochodzi dwunasta. Możeby tak na drugie śniadanko: herbatki, bułeczki z wędlinką i masełkiem. Właśnie mam tu przygotowane dla siebie, ale bliźni przecież pierwszy.

I p. Stanisław sadza zdumionego pacjenta przy swym urzędowym stole, który ochłonąwszy z pierwszego wrażenia zaczyna z apetytem zajadać.

— Panią łaskawą ząbeczki bolą — zwraca się teraz p. Stanisław do siedzącej na ławce chorej — o, to się zaraz okno zamknie. Któż przecież będzie dbał o pacjentów ubezpieczalni, jeżeli nie ja?! Lekarz, co?

A szanownemu panu może skoczyć jaką gazetkę przynieść dla zabicia czasu, a może tygodnik humorystyczny, sportowy. Parę złotych jeszcze mam w kieszeni, proszę się nie krępować.

Pacjenci przyglądali się z podziwem niezwykłemu woźnemu i ten zaś dalej gwarzył uprzejmie z innymi pacjentami:

— Pan panie starozakonny książeczki nie ma poświadczonej przez pracodawcę? Głupstwo! Zrobi się! Wejdę z panem do doktora i powiem, że znamy się osobiście. Zbada pana bez zaświadczenia, na pewno.

Mój Boże, że też u nas więcej w poczekalni krzeseł niema. Przecież moich chorych nóżki zabolą. A może zrobimy w ten sposób: Ja się położę na brzuchu na podłodze, a państwo po trzy osoby będą sobie na zmianę siadać? Jak bogatego, miękki jestem, nie zalewam, bo mam sucho w butach.

Publiczność zaoponowała gorąco.

— Jakżesz? Ale co znowu? Przy takim człowieku i cały dzień stać można.

— A może któremu z państwa zabrakło na tramwaj, chętnie służę pożyczką. A dwa zera, to tam na prawo. Urzędowym blankietem mogę służyć.

Tymczasem wyszedł na korytarz lekarz domowy. Spojrzał podejrzliwym wzrokiem na pana Stanisława i zawołał:

— Stanisław znów pijany przyszedł do pracy, co? Jeszcze raz się zdarzy coś podobnego to się pożegnamy.

Woźny zwiesił głowę na piersi, a gdy doktór zniknął w gabinecie, zapytał oczekujących swej kolejki:

— A możeby szanowne państwo chciało, żeby i on był trochę wstawiony?

Milczenie było znakiem potwierdzenia.

Pewnie, że ubezpieczalnia byłaby wtedy przybytkiem rozkoszy.

Nikodem Zdun

HUMOR

SEN

— Czego płaczesz, smarkaczu?

— Bo śniło mi się, że dostałem dwa ciastka i zdążyłem zjeść tylko jedno, bom się obudził.

LICZNA RODZINA

Urzędnik: Ile osób liczy pańska rodzina?

Chłop: Ano, jak się wszyscy zbierom, to nom cało wieś nie do rady.

SZKOŁA

— Jasiu, co robisz w szkole?

— Czekam, aż zadzwonią i puszczą mnie do domu.

GŁOWA DOMU

— Czy pan jest głową domu?

— Tak, ponieważ moja żona wyjechała.

UBEZPIECZYŁ SIĘ

— Ubezpieczyłem się na wypadek śmierci. Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić, żonko?

— Na tym świecie już nic.

Nasze wielkie ankiety z nagrodami

Co przeżywa kobieta pracująca

Tajemnice nocnej kawiarni (Godło: Kwiat na bagnisku)

Nie przypuszczałam nigdy, że będę miała okazję opisać swe przeżycia z owego smutnego okresu, kiedy los zmusił mnie do nocnej pracy w kawiarni. I oto dzięki inicjatywie „Ostatnich Wiadomości", które rozpisały tak ciekawy konkurs, mogę odtworzyć te pamiętne dla mnie zdarzenia. Dziś jestem żoną uczciwego mechanika, mam dwoje dzieci i jak to się mówi jestem szczęśliwa. Ale wtedy...

Było to w roku 1932. Pozostawałam bez pracy. Rodzice moi mieszkali na wsi, a ja tułałam się kątem w rodzinie. Każdy, kto choć przez krótki okres czasu zmuszony był korzystać z „dobrodziejstw" rodziny zrozumie, że i ja wiele wtedy wycierpiałam.

Szukałam rozpaczliwie jakiejś pracy, by wreszcie wydostać się z pod opiekuńczych skrzydeł starej, ale rozgadanej i często przykrej ciotki. Nie wiem, co ją bardziej złościło: czy moja uroda, czy też, że nie płaciłam za udzielony kąt. Czyż można się więc dziwić, że w takich warunkach nadszedł moment, kiedy w głowie mojej zrodziły się myśli samobójcze? Byłam przekonana, że innego wyjścia z tej sytuacji nie mam. Czekałam więc na chwilę. Ale oto dobry Bóg zlitował się nad moją niedolą.

Któregoś dnia, stojąc przed witryną okienną, za którą umieszczono gazetę, przeczytałam następujące ogłoszenie:

— Poszukiwane są młode, przystojne kelnerki... Utrzymanie i pensja. Zgłaszać się w godzinach poobiednich, ulica...

Zdawało mi się, jakby nagle z poza chmur wyjrzało radośnie uśmiechnięte słońce. Chciałam odrazu biec pod wskazany adres. Była jednak godzina 10-ta rano. Trzeba było czekać. Z niecierpliwością oczekiwałam na wyznaczoną godzinę. Wreszcie. Jak szalona pobiegłam do owej kawiarni. Przedtem zdążyłam jakoś oporządzić się... Włożyłam skromną, białą bluzeczkę.

Nim weszłam do owej kawiarni, stwierdziłam, że jest to dość nędzny lokal. Szyld z ulicy krzyczał wielkiemi literami:

— Codziennie orkiestra cygańska. Dancing do rana.

Byłam lekko speszona. Ale nie chciałam myśleć... Trudno. Weszłam. Pierwsze wrażenie było bardzo niemiłe. Salka była niesłychanie duszna... Wokół małych, brudnych stolików siedziało kilka podejrzanych typów. Jeden z nich rzucił na mnie tak wyzywające spojrzenie, że miałam zamiar uciekać ile sił...

Po 15-minutowem oczekiwaniu, ukazał się wreszcie właściciel lokalu. I on wywarł na mnie niemiłe wrażenie. Nie wiem dlaczego, ale byłam przekonana, że człowiek ten miał nieczyste sumienie. Liczył lat około 50, a wyglądał o 10 lat starzej. Miał grube, obwisłe wargi, zaropiałe oczy i stale się ślinił. Ohydny typ...

Nim doszedł do mnie, patrzał dość długo, wnikliwie. Przeczuwałam, że człowiek ten mnie taksuje. I snać wypadło to dla mnie dobrze, gdyż uśmiechając się życzliwie (och, jaki ohydny śmiech), podszedł do mnie i zapytał:

— To panienka w sprawie posady... Proszę, proszę...

Nie wiedziałam w pierwszej chwili, co odpowiedzieć... Dopiero, gdy padło nowe pytanie: — Czy panienka już kiedy pracowała w kawiarni?, odrzekłam lękliwie: — Nie...

Na to właściciel:

— Nie szkodzi. Już my panienkę nauczymy... Panienka bardzo mi się podoba...

Dalszy ciąg nastąpi.

Coś dla pani



Modna czapeczka przybrana jest szkocką tąftą. Z tejże tąfty zrobimy piękny krawat.

Moja pierwsza miłość

Wychowanek klasztoru (Godło: Ikcibyr)

Widziałem, że zbladła, lecz nie próbowałem zatrzeć swojego grubjaństwa. Za chwilę powstała, a widząc przechodzącą moją siostrę wytłumaczyła jej, że czuje się niedobrze i odchodzi do siebie.

Z jej zniknięciem i dla mnie

ZABAWA STRACIŁA UROK.

Nie mogłem wytrzymać dłużej w rozbawionem towarzystwie, gdyż wszystko mnie drażniło, uciekłem do siebie, rzuciłem się na łóżko,

SZLOCHAŁEM, GRYZŁEM PODUSZKĘ,

aby głośno nie ryczeć, wszystkie nerwy we mnie drżały! Chciałem biec do niej i na klęczkach błagać o przebaczenie.

Owej nocy bezsennej przeszedłem

CAŁĄ GEHENNĘ ZAZDROŚCI

męki pożądania i wątpliwość, czy posiadam jej wzajemność?

Na drugi dzień przy śniadaniu dowiedziałem się, że p. Zofja czuje się gorzej i posłano po lekarza.

JAK OBITY PIES

kręciłem się po domu, czekając, aż mnie wezwie, gdyż sam nie miałem śmiałości iść do niej.

Przyjechał lekarz i po zbadaniu chorej miał rozmowę ze szwagrem. Rezultatem było oświadczenie szwagra, że

Z ZOCHĄ JEST BARDZO ŹLE

i że katastrofa wisi w powietrzu.

Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, a czując że o ile się z nią nie zobaczę, to drugą noc spędzę bezsennie, poszedłem do niej z myślą, że jednak dalej będę udawał zagniewanego!

Lecz gdy zobaczyłem jej bladą twarzyczkę bez kropli krwi i wielkie oczy z sinemi obwódkami, utkwione we mnie, wszystkie złe myśli ustąpiły i jakaś

ŻAŁOŚĆ ŚCISNĘŁA MNIE ZA SERCE

i chwyciła za gardło, tak że musiałem sobie zadać gwałt, by nie paść na kolana i nie wybuchnąć płaczem.

Gdy smutno uśmiechnęła się do mnie, uczułem w sercu tak bezmierną

MIŁOŚĆ I LITOŚĆ,

że nie mogłem dłużej wytrzymać i rozpłakałem się.

— „Staśku co tobie? Nie płacz, przecież ja nie mam do Ciebie żalu! zapomnijmy o wczorajszem".

Myślała, że chodzi mi o wczorajsze zajście, a ja nie wyprowadzałem jej z błędu.

Październik zbliżał się ku końcowi. P. Zofia prawie że nie opuszczała łóżka. Większą część dnia spędzałem przy niej, rozmawiając, czytając jej powieści lub poezję

SNUJĄC MARZENIA

i projekty na przyszłą wiosnę, gdyż była pewną, że jeszcze wstanie i będzie zdrowa, a ja obiecywałem jej, że aby być razem z nią, będę odbywał praktykę na agronoma przy szwagrze.

A tymczasem choroba robiła postępy, a ja widziałem już, że

KONIEC NIEUBŁAGANY

się zbliża i śmierć wyciąga ręce ponad wszystko ukochaną kobietę. Słyszałem jak lekarz mówił do szwagra, że dnie chorej są policzone, a ja wiedząc o tem musiałem udawać, że jestem wesoły, choć

SERCE MI SIĘ KRAJAŁO Z BÓLU

a do oczu mimowolnie łzy napływały.

Raz kiedy jej czytałem, zauważyłem, że ma oczy zamknięte, ponieważ coraz częściej się zdarzało, że czytanie ją męczyło i usypiało, sądziłem, że śpi. Opadła ze mnie sztuczna maska wesołości i spokoju, wpatrzyłem się w tę bladą twarz ukochanej nadewszystko kobiety, na jej zamknięte oczy z długiemi rzucającemi cień rzęsami i ogarnęła mnie przeogromna rzewność.

UKLĘKŁEM PRZY ŁÓŻKU

wziąłem jej leżącą na kołdrze rękę, zacząłem gładzić delikatnie, muskając ustami każdy paluszek z osobna. Pieszczota ta na którą nigdybym się nie odważył nie będąc pewnym, że śpi,

SPRAWIAŁA MI NIEWYSŁOWIONĄ ROZKOSZ

Wtem uczułem, że ręka jej drgnęła.

Spojrzałem na jej twarz i ujrzałem, że patrzy na mnie szeroko otwartemi oczami.

Przez chwilę byłem jak urzeczony, po chwili usta nasze zwarły się i krwisty rumieniec wykwitł na jej obliczu.

UŚMIECH SZCZĘŚCIA

ozdobił jej twarz, a usta wyszeptały — „Staśku mój Staśku..."

W tej chwili zrozumiałem, że posiadam jej wzajemność, że mnie kocha.

Niebo się nade mną otworzyło, znikła rzeczywistość!

Pozostało tylko przekonanie, że mam jej miłość! To odjęło mi rozum, zacząłem szlochać spazmatycznie ze szczęścia błądząc ustami po obnażonych jej ramionach. A ona mówiła:

SZCZĘŚLIWA I UŚMIECHNIĘTA

— „Staśku mój, to ty nie domyśliłeś się, że ja cię też kocham? Że ty jesteś jedynym mężczyzną, którego kochałam i kocham? Dzięki tobie poznałam bóle i rozkosze prawdziwej miłości... W nagrodę za nasze udręki, będziemy szczęśliwi".

Dalszy ciąg nastąpi.

PROGRAM RADJOWY

9.00 „Kiedy ranne wstają zorze"; 9.06 Gimnastyka; 9.20 Muzyka (płyty); 10.00 Muzyka popularna (płyty); 10.30 Transmisja Nabożeństwa z kościoła św. Krzyża; 11.57 Sygnał czasu; 12.00 Hejnał; 12.05 Przegląd teatralny; 12.15 Transmisja z Filharmonji; 14.00 Muzyka salonowa; 15.00 „Wiosenne prace w lesie" — pogadanka; 15.15 Muzyka na klarnecie i harmonji; 15.22 „Przegląd rynków produktów rolnych"; 15.35 D. c. muzyki na klarnecie i harmonji; 15.45 „Kontrola mleczności — podstawowym warunkiem hodowli"; 16.00 Koncert solistów; 16.40 Fragmenty z książki Rom Landau'a p. t. „Paderewski"; 17.00 Koncert zespołu salonowego P. Rynasa i Z. Ledermana; 17.35 „Łamigłówki" dla dzieci starszych; 17.50 „Palić czy nie palić"; 18.00 Zespół wokalny „Te cztery"; 18.45 „Życie młodzieży"; 19.13 „Od Largo do Presto" (płyty); 19.45 „Miasto pożerane przez puszczę"; 20.00 Muzyka lekka; 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce"; 21.00 „Gwiazda ekranu" (płyty); 21.30 „Co czytać?"; 22.00 Koncert reklamowy; 22.15 Koncert kompozytorski F. Nowowiejskiego; 23.05 Muzyka lekka (płyty).

ROM LANDAU O PADEREWSKIM

Rzutki dziennikarz amerykański, Rom Landau wydał książkę o Paderewskim, która mimo wielu niedostatków i zbyt publicystycznego sposobu potraktowania tematu jest bardzo cenna. Zawiera bogaty materiał, w tem wiele szczegółów nieznanych, a ze względu na osobę wielkiego artysty, dla nas niezmiernie interesujących. Książkę spolszczył Jerzy Bogdan Rychliński, a Polskie Radjo, chcąc uprzystępnić słuchaczom tę ze wszech miar ciekawą dla Polaków książkę, o mistrzu Paderewskim, nadaje fragment dziś o godz. 16.40.

PALIĆ CZY NIE PALIĆ?

Palacze i nie palący — są to dwa wrogie obozy, zwalczające się zaciekle. Nie ulega jednakże wątpliwości, że może na tym terenie dojść do jakiegoś kompromisu. Palacze muszą zrezygnować z wielu niemiłych przyzwyczajeń, jak rzucanie niedopałków papierosów gdzie się da, palenie w nieodpowiednich chwilach i t.p. Niepalący wtedy przestaną narzekać na dokuczliwy dym z papierosa, na nieopanowanie nałogowych palaczy. Kulturalne porozumienie wyjdzie na dobre jednej i drugiej stronie. Odczyt na ten temat wygłosi przed mikrofonem warszawskim dziś o godzinie 17.50 p. Romana Dalborowa.

ARKADY FIEDLER

Kilka ciekawych prelekcyj wygłoszonych dotychczas przez znanego podróżnika, p. Arkady'ego Fiedlera, cieszyło się wielkiem zainteresowaniem radiosłuchaczy. Dziś o godzinie 19.45 wygłosi p. Arkady Fiedler nową pogadankę z cyklu „Podróżujmy" p. t. „Miasto pożerane przez puszczę", którą Poznań transmitować będzie na wszystkie rozgłośnie Polskiego Radja.

OWOC GRZECHU

TRAGICZNE DZIEJE, KTÓRE WSTRZĄSNĘŁY CAŁYM ŚWIATEM

Truchlejąc pod wpływem najgorszych przeczuć, Wilnicki pytał gorączkowo:

— Irenko, błagam cię... Mówże wreszcie, gdzie nasz drugi synek...

— Już go nie zobaczysz więcej -- jęknęła.

— Czyżby... umarł?

— Niestety...

Tadeusz jakby tego nie zrozumiał. Odruchowo położył zpowrotem do łóżka Jasia, który przez cały czas ani drgnął, śpiąc twardym snem dziecięcym.

Narazie nie rzekł jej ani słowa. Czekał, aż sama co powie. Nie nastąpiło to wszelako. Namyślił się. Odzyskał zimną krew...

Wreszcie szepnął:

— Ireczko, powiedz mi wszystko...

Podniosła na niego swe oczy, mokre od łez, wciąż jeszcze spływających po wybladłych policzkach dwoma niewysychającemi potokami pierwszych łez, jakie trysnęły jej z oczu od trzech dni. Bo przez cały czas nawet tej ulgi sprawić sobie nie mogła. Była to rozpacz najgorsza, bez łez... Spojrzała na męża i przelękła się, taki był blady...

Po przez strumienie łez, urywanym głosem, rozpoczęła smutną opowieść, jak nastąpiła śmierć dziecka.

Opowiedziała o wypadku Jasia, przybyciu Rymkiewicza...

Tu urwała, bo hrabia Tadeusz żachnął się...

Szepnął:

— Rymkiewicz? On tu był? Teraz już wiem! Jego obecność sprowadziła nieszczęście do naszego domu.

Gdyby w tej chwili nie przerwał Irenie, jużby powiedziała wszystko... Całą nagą prawdę. Ale gdy jej przerwał, straciła odwagę. Ta prawda byłaby zbyt straszliwa. I zbyt wielkiem okrucieństwem byłoby zadanie mu dwóch tak okropnych ciosów naraz.

Zlitowała się nad nim... A może nad sobą?...

Dość, że nie ośmieliła się powiedzieć mu całej prawdy, przekonywując się w duchu:

— Później... Później ujawnię Tadeuszowi zbrodnię tego łotra... Później, gdy już Tadek oswoi się nieco ze śmiercią dziecka... Teraz byłoby to zbyt wiele naraz. Tylko słaba kobieta jest w stanie znieść dwa tak silne ciosy naraz... Silni mężczyźni są o wiele mniej odporni na nieszczęście...

Opowiadała więc narazie dalej, mówiąc, jak Rymkiewicz ostatecznie jednak ocalił Jasia.

Potem z głową opuszczoną, jak winowajczyni, opowiedziała resztę, jak Staś chciał w nocy obejrzeć zabawki, jak potem Jaś chciał się niemi dzielić z nieżyjącym już Stasiem, słowem, wszystko...

I długo potem jeszcze nie miała odwagi spojrzeć mężowi w oczy.

Nastąpiło dręczące milczenie.

Ponieważ Tadeusz nie dawał znaku życia, Irena wreszcie podniosła głowę.

Stał na środku pokoju, załamując ręce i płacząc żałośnie.

Padła mu do nóg, bełkocąc:

— Wybacz... Wybacz...

— Cóż mam ci wybaczyć, moja ty biedaczko kochana? — zapytał, dodając: — widocznie zbyt byliśmy szczęśliwi. Zresztą, czyż jesteś mniej nieszczęśliwa, niż ja?

Rozejrzał się po pokoju, tak często ożywianym srebrzystym śmiechem Stasia i szepnął:

— Kres naszemu życiu bez chmurki... Niczem nie zamąconemu... Rajowi na ziemi...

Wziął palto...

— Dokąd się wybierasz? - zapytała Irena

— Na cmentarz.

— Pójdę z tobą.

— Chodź.

Zadzwoniła na nianię i kazała jej nie spuszczać z oka Jasia. Potem razem z mężem poszła na cmentarz. Był pokryty całunem śniegu, przykrywającym wszystkie groby...

Zostali tam długo, modląc się i płacząc.

Irena szeptała:

— Jak mu, biedaczkowi, musi być zimno... Jak zimno...

Nazajutrz i następnych dni nie mogli wciąż jeszcze zżyć się z myślą, że mają o jednego synka mniej.

A gdyby nawet mogli o tem zapomnieć, przypominałby im o tem Jaś, płaczliwym głosem domagający się powrotu braciszka.

Aż wreszcie przestał...

Zapomnienie stopniowo spływało na dom Wilnickich, gdy w tem nowe nieoczekiwane nieszczęście spadło na Irenę.

Pewne oznaki świadczyły wymownie o tem, że jest w odmiennym stanie.

Straszliwa ta rzeczywistość przerażała ją okropnie.

W każdej innej chwili przyjęłaby zapowiedź macierzyństwa z radością. Bo kiełkujące w jej łonie życie zastąpiłoby jej poniesioną stratę. Nazwałaby nowego synka znowu Stasiem i stopniowo może zdołałaby się poddać złudzeniu, że to właściwie ten sam Staś, co dawniej.

Ale teraz?

Dzieciątko, które się miało narodzić, będzie jej stale przypominało ową straszliwą noc wigilijną... Stanie się żyjącem wspomnieniem ohydnego targu... A może nawet rysy jego będą podobne do... Rymkiewicza?...

Gdy wreszcie okazało się, że jej stan nie ulega już najmniejszej wątpliwości, Irena była bliska obłędu z rozpaczy... Zamykała się u siebie, nie dopuszczając nawet męża...

Daremnie prosił ją i błagał. Zobojętniała na wszystko. Leżała przez cały dzień na łóżku lub na otomanie, żyła tylko swojem nieszczęściem. Po nocach prześladowały ją straszliwe zmory, coraz częściej przybierające postać Rymkiewicza.

Drogo płaciła za lata szczęścia.

Hrabia Tadeusz, zaniepokojony stanem żony wezwał wreszcie doktora Burskiego.

Irena przyznała się doktorowi Burskiemu, że jest w ciąży. Nie miała innego sposobu wytłumaczenia dziwaczności swego postępowania. Burski nieomieszkał zawiadomić o tem Wilnickiego, mówiąc:

— Niepotrzebnie się pan niepokoi. Stracił pan jednego synka. Małżonka pańska wnet go panu zastąpi nowonarodzonym. Zamiast martwić się, może więc pan się raczej cieszyć. Nie będę natomiast przed panem ukrywał, że pani hrabina jest dość niezdrowa. Przedewszystkiem jest w stanie silnego wyczerpania. Potrzebaby jej innego klimatu. I to zwłaszcza duchowego. Jakiejś rozrywki... Coś w tym rodzaju. Przedewszystkiem zaś trzeba jej okazywać bardzo wiele troskliwości i miłości. Spodziewam się, że hrabia zastosuje się do moich wskazówek, a wtedy zpewnością wszystko będzie dobrze.

— Ależ, doktorze, pan chyba dobrze wie, jak ubostwiam moją żonę?

— A więc hrabia będzie łaskaw i nadal... I proszę jej to jak najwięcej okazywać.

Gdy doktór Burski wyszedł, Tadeusz wpadł do pokoju żony i padł jej do nóg. Całował jej ręce...

Zapytał:

— Iruśko... Czy to prawda, co lekarz mówi?

Irena, blada, jak trup, pół żywa z gniewu i wstydu, odrzekła cicho:

— Prawda...

— I nie cieszysz się z tego wraz ze mną?

— Owszem, Tadziu... cieszę się...

— Moja żoneczko cudna!... I ukrywałaś to przede mną? Trzebaż było aż wzywać doktora Burskiego? Czyż nie mnie raczej należało się pierwsze wyznanie? Niedobra... Dalczego?

— Chciałam się upewnić. Nie chciałam cię łudzić. Powiedziałabym nieopatrznie, a potem okazałoby się, że nic z tego i byłoby przykro.

Objął ją czule, ściskał i całował, Irena zaś myślała sobie przez ten cały czas:

— O, jakaż to straszliwa komedja! Czy ja to przeżyję?

I tak już potem codziennie musiała grać przed mężem tę samą komedję, udając coraz większą radość, aby dorównać szczęściu, jakiem promieniał mąż.

A gdy się do niego uśmiechała, w duszy marzyła tylko o tem, aby teraz ziemia się przed nią rozwarła i pochłonęła ją raz na zawsze, obracając w nicość.

Aż wreszcie rzeczywiście wydała na świat syna.

Niestety, dziecko urodziło się z piętnem grzechu, który towarzyszył jego poczęciu. Poczęte w zbrodni, kiełkujące w łzach i udrękach matki, maleństwo nosiło na sobie ślady wszystkich mąk, przeżywanych przez matkę, gdy jeszcze je miała w łonie. Jak zwykle, dzieci zbrodni bywają chorowite i wątłe. To zaś najwyraźniej nosiło na sobie ślady potępienia. Miało dziwnie pomarszczoną jakby starą twarzyczkę. Głowa była ogromna i niewspółmierna do reszty ciała. Jedna łopatka tak nabrzmiała, że wywierała wrażenie garbu.

Gdy matka usłyszała pierwszy płacz tego potworka, którego życie zpewnością byłoby wielką męką, odwróciła się z odrazą.

Nie chciała widzieć tego dziecka, ani go słyszeć. Była przerażona na samą myśl o tem, że będzie miała teraz zawsze i nieustannie przed oczyma widomy ślad zbrodni Rymkiewicza, dowód niezbity jego łajdactwa, nieustannie podsycający do zemsty.

Gdy wszakże pokazano jej dziecko w pieluszkach, przysłaniających wszystkie jego zniekształcenia, gdy ujrzała dokładnie to maleństwo, którego była matką, które płaciło już swem kalectwem za grzech swego poczęcia — zmiękła... Rozpłakała się. Wzięła dziecko w ramiona i ucałowała...

Była przedewszystkiem matką...

Instynkt macierzyński chadza dziwnemi drogami. Irena przeczuła, że to dzieciątko nie będzie miało łatwego życia. Pomyślała sobie, że dzieciaczka tego nikt nie pokocha... Ona więc powinna je kochać za siebie i za wszystkich...

Dalszy ciąg jutro

RADJO - SZCZĘŚCIE

Państwo Gąsiorowscy żyli z sublokatorów — trudno, tak w życiu bywa. Pan Gąsiorowski stracił pracę trzy lata temu, ale za wszelką cenę postanowił nie dać się biedzie...

W jakiś czas po redukcji zebrała się rada rodzinna i jako jedyny sposób wybrnięcia z przykrej sytuacji, przedstawiła projekt parcelacji mieszkania na pojedyncze, „komfortowo umeblowane pokoje z łazienką, życiem, opraniem i... słońcem — dla wypłacalnych".

Naskutek tego odnajęto 5 pokoi przeważnie niebardzo wypłacalnym. Tak więc państwo Gąsiorowscy mieli jakie takie dochody, a poza tem moc długów i kłopotów. Jedyną rozrywką po całodziennych troskach było, dla całej rodziny z przyległościami, — radjo.

Jednym z sublokatorów państwa Gąsiorowskich był młody student Uniwersytetu Warszawskiego, o którym wiemy tylko tyle, że zakochany był okropnie w swej sąsiadce — sublokatorce, pannie Jadzi.

Panna Jadzia długo czekała na oświadczyny, lecz pewnego dnia znudzona nieśmiałością młodzieńca postanowiła pierwsza zaatakować.

Szumiały im echa kawiarni... Pan Józef, nie znoszący gwaru i ludzi, czuł się jeszcze bardziej onieśmielonym i małym.

Nagle Jadzia przestała mówić, spojrzała badawczo na partnera i przeszywając go stalowym wzrokiem rzekła:

— Co pan sobie właściwie myśli, panie Józefie?

Józef struchlał — nigdy jeszcze takim tonem do niego nie mówiła.

— Ja właściwe, no tak — właściwie to ja nic nie myślę...

— To źle, proszę pana... I nic mi pan nie chce powiedzieć? — spadło na gołębią duszę pana Józefa, jak spada kamień ze szczytu na rozmiękłą glebę.

— Panno Jadziu... znamy się już pół roku czasu?...

— Tak.

W tej chwili jazzbandzista kończąc zwarjowaną „cariocę" tak mocno uderzył w instrument, że pan Józef przestraszył się, zgubił wątek, zbladł okropnie i ani jednego słowa nie mógł wydobyć ze ściśniętego gardła.

Za rogiem ulicy w której zniknęła Jadzia po pożegnaniu, pan Józef odzyskał tupet i pewność siebie, chciał za nią biec, powiedzieć jednym tchem wszystko co czuje, ale w tej samej chwili poczuł jak serce mu bije, i czoło oblewa się potem... Nie! Stanowczo nigdy nie będzie miał odwagi wyznać jej tego co czuje.

W stanie podobnym do mąk Tantala czekał na następne spotkanie z Jadzią.

Widział ją kilka razy w przelocie, jak przechodziła przez pokój jadalny, jak znikała w mrocznym przedpokoju kierując się ku wyjściu, ale ona jakby przestała zwracać na niego uwagę. I to go dobiło do reszty.

Wreszcie przyszła ważka w swych skutkach, niedziela. Deszcz padał od rana. Panna Jadzia nie wychodziła nigdzie. Pan Józef „wytropił" moment w którym siadła przy głośniku radjowym w wygodnym fotelu.

Teraz, albo nigdy, myślał — pan Józef.

Panna Jadzia prowadziła obojętną rozmowę.

— Cóż pan porabiał przez cały tydzień?

— Ja?... — pan Józef chce już wykrztusić, że myślał o niej bez przerwy, że noce spędził bezsennie i w tym samym momencie mówi matowym głosem — pracowałem, byłem dwa razy w kinie, ale sam, słowo honoru... że byłem sam.

— Cóż mnie to obchodzi — pada odpowiedź, obojętna i zimna.

— Panno Jadziu, ja naprawdę chciałem pani dzisiaj powiedzieć...

— Co, czy to, że pan dzisiaj pił kawę na śniadanie...?

— Nie, nie... ja... — i znowu skurcz w gardle i trema, trema mrożąca krew w żyłach.

Nie! Nigdy tego nie wypowie głośno.

— Ja chciałem powiedzieć... „Kocham cię, moją bądź..."— składa uwielbienia u stóp bohaterki amant z radjooperetki...

— Kocham cię i moją bądź — powtarza prędko, paląc mosty za sobą pan Józef. I naraz ogarnia go zdumienie dla swej odwagi, tak że urwał i siedzi bez słowa.

— Co, co pan powiedział, co? Pan mnie...

— Ja panią kocham i już.

Panna Jadzia siedzi chwilę cicho, a potem: zaczyna się śmiać leciutko, ale to już nie jest tak straszne, jak poprzednia rozmowa. To nawet jest przyjemne i zachęcające.

— Wiec trzeba było aż tak panu podpowiedzieć... tyle czasu musiałam na to czekać?

„Tylko z tobą i dla ciebie..." — kończy arja radjooperetki.

KRZYK W NOCY

WSTRZĄSAJĄCE GROZĄ DZIEJE STRASZLIWEJ TAJEMNICY

STRESZCZENIE.

Inżynier Roman Larecki miał 25-letnią żonę Helenę i 7-letnią córkę Zofję. Latem mieszkali w jego willi w Milanówku. Pani Helena z córką była na wsi cały dzień, Roman zaś przyjeżdżał dopiero na kolację.

Pewnego dnia, akurat w dzień imienin córki długo nie przyjeżdżał. Helena i Zosia, wyczekując go, ujrzały jak ich sąsiad Kołowicz liczy wielkie ilości pieniędzy. Potem jakiś pan, z postaci do złudzenia przypominający Romana nagle wszedł do pokoju Kołowicza, napadł na niego i po krótkiej walce zamordował go.

Helena kazała Zosi przyrzec, że nigdy nikomu nie powie ani słówka o tem co widziała i słyszała. Zosia przyrzekła. Wtem usłyszały, że Roman wraca. Zatrzymał się przed sypialnią żony:

Roman nie wszedł jednak do pokoju. Helena nie odezwała się, pomyślał więc, że śpi. Po chwili ona wraz z córką weszły do salonu. Roman siedział przy biurku. Wstał i ruszył ku nim.

Roman nie dostrzegł w mroku żony i córki. Nie podszedł do nich. Wziął rewolwer i chciał się zastrzelić, w ostatniej chwili wszakże cofnął się. Helena wyszła cichutko. Nazajutrz z rana Roman wszedł do jej pokoju.

Roman zapytał żonę, czem tłumaczy się jej bladość i zmieszanie. Wtem nagle Zosia zemdlała. Matka rzuciła się, aby ją ratować.

Zosię ocucono i Roman wrócił do miasta.

Tymczasem przychodząca sprzątać do Kotowicza stara Maciejowa, stwierdziła zgon Kotowicza. Zawiadomiła o tem władze, które skrzętnie zbierały wszystkie poszlaki.

Gdy Helena ujrzała sędziego śledczego, wchodzącego do jej domu, zbladła śmiertelnie.

Helena najpierw zataiła wszystko przed sędzią śledczym. Lecz jej służąca wygadała się przed nim, opowiadając całą prawdę. Wobec tego sędzia Krzymowski ponownie badał Helenę, która wykręcała się, jak mogła.

Jednocześnie sędzia śledczy Lisiewicz w Warszawie badał Lareckiego i jego kasjera Wońskiego, jakiemi pieniędzmi Larecki spłacił Kołowicza.

Wyniki śledztwa okazały się dla Lareckiego fatalne. Aresztowano go.

Okazało się, że Larecki kiedyś miał przelotny romans z mecenasową Janiną Czarnomską, która nagle poprosiła go o spotkanie w pilnej sprawie.

Roman nie zwierzył się żonie ze swych tajemnic, ponieważ do ostatniej chwili liczył na to, że wyjdzie jeszcze z tego wszystkiego obronną ręką.

Teraz, gdy już żadnej rady nie było i trzeba było przyznać się Helenie, że wieloletnie przedsiębiorstwo, owoc całego życia ciężkiej pracy jej ojca, przekazany Romanowi w spadku i dziedzictwie jest na brzego przepaści, wali się w gruzy — opanował go nagle straszliwy lęk.

Nie miał odwagi powiedzieć Helenie, że teraz trzeba będzie przyzwyczaić się do ciężkich czasów, do ubóstwa, może nawet do nędzy.

Bał się poprostu wrócić do domu, bo nie śmiałby spojrzeć w oczy żonie. Chciał już wreszcie tylko jaknajbardziej opóźnić tę chwilę, drżąc na myśl, że Helena na pierwszy rzut oka pozna całą prawdę po jego zmieszaniu, po jego błędnem spojrzeniu, bo już nie panował nad sobą i nie umiałby ukryć trosk, które targały jego duszę.

Głowa paliła mu się jak w gorączce straszliwej.

To też, będąc w Milanówku, nie poszedł jeszcze wprost do domu, lecz błąkał się jakiś czas po lesie, a potem jeszcze jakiś czas krążył dookoła domu bezmyślnie, beznadziejnie, naoślep, tak, jak przed paroma godzinami błądził po Warszawie.

Niejednokrotnie zatrzymywał się...

Bełkotał urywane zdania, jak naprzykład:

— Moja biedna Helenka!... Biedna moja Zosieńka...!

Poczem znów biegał tam i zpowrotem, jak szalony, brnąc niekiedy naprzełaj przez krzaki i zarośla, potykając się i przewracając, kalecząc sobie ręce, walając ubranie, nie bacząc już na nic, opętany tylko szarpiącą mu nerwy okrutną myślą:

— Jestem zrujnowany... Shańbiony... Całe moje życie jest już skończone.

I wciąż świdrowały mu mózg myśli o żonie i dziecku.

Wkońcu tak opadł już z sił, że siadł bezwładnie na przypadkowej ławce i pogrążył się w zadumę, drżąc, jak w febrze, przeszywany okropnemi dreszczami.

Dookoła panowała cisza, niczem niezamącony spokój jasnej księżycowej nocy letniej.

Zdaldali widać było zarysy jego domku, gdzie teraz, zapewne, już słodko śpi jego Zosieńka, a niespokojnie czuwa, prawdopodobnie, pomimo późnej godziny, jego żona.

Oto jego dom, będący przez tyle lat świadkiem jego szczęścia i radości, miłości i upojenia.

Czyżby to wszystko miało się skończyć, stracone już bezpowrotnie?

Powoli wrócił wreszcie do domu.

Postanowił umrzeć.

Przedtem wszakże pragnął jeszcze choć raz spojrzeć na żonę i dziecko.

W domu panowała zupełna cisza.

Szepnął do siebie:

— Śpią już obie, zapewne.

Przywarł uchem do pokoju Heleny.

Cisza.

Wrócił więc do swego pokoju i tam, zmiażdżony i zgnębiony, siadł przy biurku, zatapiając głowę w dłoniach.

Właśnie w takiej pozycji ujrzały go Helena i Zosia, gdy chyłkiem wyszły z pokoju.

Opętany zamiarami samobójczemi, wyjął rewolwer z szuflady, nabił go, poczem rozpinając ubranie, skierował lufę do serca.

Nie mógł wszakże nacisnąć.

Oczyma wyobraźni widział wciąż przed sobą żonę i córkę. To powstrzymywało go od ostatecznego kroku.

Aż wkońcu odrzucił rewolwer.

Ale już nie kładł się, nie zasypiał, przez całą noc pozostając w dręczącem odrętwieniu.

Nazajutrz, gdy ucałował żonę i córkę, poczuł, że jego postanowienie nie ziści się.

Przecież, gdy się zabije, to obie biedaczki pozostaną na bruku. Nie, tego mu niewolno zrobić. I nawet jakby nabrał dobrego humoru.

Nie miał natomiast odwagi przyznać się Helenie już teraz, jak źle stoją jego sprawy.

Powiedział sobie:

— Jutro wyznam jej wszystko. Niech ma jeszcze jeden dzień spokoju.

Ale odczuwał nieprzepartą potrzebę otrzymania od Heleny zapewnienia, że go kocha i że... będzie go kochała zawsze... żeby nawet nie wiem, coby nastąpić miało.

Gdy przed dziewiątą wyjeżdżał do Warszawy, morderstwo Kołowicza nie było jeszcze wykryte.

Chcąc koniecznie jakoś się ratować, przed bankructwem Roman przypomniał sobie, że w swojej garsonierze, którą trzymał jeszcze na wszelki wypadek, miał kilka cennych obrazów. Możnaby je spieniężyć i zawsze trochę załatać dziury...

Gdy wchodził, dozorca wręczył mu nadesłany właśnie list. Poznał na kopercie charakter pisma i perfumy Janiny...

Dalszy ciąg jutro.

POŻERACZ SERC KOBIECYCH

Powieść-reportaż z tajników potwornej afery w świecie arystokracji

ZMARTWIENIE MATKI

— Ach nie, nie! — zawołała Tecia, kiedy Mary zapytała ją o Przybosza. — Niech pani mi raczej powie, czy panu Noderskiemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo?... Boję się tego!... On mi opowiadał!... Czy to nie jaka sprawka pana Montemorta, którego hrabia się obawiał?

— Pani myśli, że to może być nieprawda, że Stefi jest w rękach bandytów, że to jest inaczej?...

— Ja nie wiem!... Ale boję się czegoś!...

Mary zamyśliła się.

Sprawa ta jednak, czy pieniądze wezmą jacyś nieznani bandyci, czy też oszust, jakim okazałby się w tym wypadku Montemort, najmniej ciekawiła Amerykankę. Jej myśl znów powróciła do spraw miłości, bardziej dla niej interesujących: czy czasem Tecia nie oddała swego serca Przyboszowi. Przecież taki fakt zmieniłby zupełnie sytuację, to też powtórzyła swe pytanie:

— Pani miała poślubić Przybosza... Pana Zygmunta. Ja wiem o tem. A teraz przyjdzie Stefi. Co pani zrobi? Pani nie kocha pana Przybosza? Pani kocha tylko Stefi?

— Nie wiem, nie wiem... Ja się tylko obawiam, by panu Stefanowi nie stała się jaka krzywda!... On mi opowiadał, że jemu groził ten podły Montemort. Nie wiem dokładnie, za co, ale tak pan Stefan mówił. Czy to nie jego sprawa?... Czy w tem nie kryje się jaka podłość tego człowieka, który podobno wyrządził wiele przykrości panu Stefanowi!...

— Ale pani kocha Stefi? — dopytywała się natarczywie Mary.

— Kocham... — szepnęła Tecia.

— I kochała go pani, choć pani myślała, że on ma kochankę, mnie?..

Mary nie otrzymała odpowiedzi, bo w tej samej chwili rozległ się przy drzwiach dzwonek. Tecia otworzyła: na progu stanęła pani Zierska. Stanęła zdumiona, widząc obcą osobę w mieszkaniu, a swą córkę z wypiekami na twarzy, wyraźnie wzburzoną.

— Co to za pani? — spytała pani Zierska.

— To pani mama? — zagadnęła Mary.

Tecia skinęła głową.

— Mary Young — przedstawiła się pani Zierskiej Amerykanka.

— Ach, mamo, mamo!... — szepnęła Tecia.

— Co się stało? — zawołała niespokojnie pani Zierska.

Nagle Tecia wybuchnęła płaczem. Matka i Mary rzuciły się ku niej.

— Co się stało, Teciu, co się stało? — dopytywała się coraz bardziej zaniepokojona pani Zierska.

— Czego pani płacze? — wtórowała Mary.

Tecia zanosiła się coraz większym łkaniem.

— Co się tu stało? — zwróciła się pani Zierska do Mary, widząc, że od córki nie wydobędzie narazie ani słowa.

— Ja przyszłam powiedzieć pani córce, że ja i Stefi, Stefi to hrabia Noderski, że my się nie kochamy, że to było tylko tak... że Stefi, to jest hrabia Noderski kocha pani córkę, ale teraz trzymają go bandyci i on dopiero za parę dni będzie wolny... Pani córka, ja nie rozumiem, czego płacze. Przecież ona powinna się cieszyć!...

— Co takiego? — krzyknęła pani Zierska, przerażona nazwiskiem Noderskiego.

Mary Young spojrzała zdziwiona na panią Zierskę.

— Pani nic nie rozumie? — spytała. — Ja mówię trochę niewyraźnie, bo po polsku ja dobrze nie umiem. Stefi kocha pani córkę, a pani córka Stefi i oni mogą się kochać, bo ja, to ja nic. Ja wyjeżdżam i mnie Stefi nie kocha, ja tylko umyślnie, na złość zrobiłam, pokazałam, że jestem kochanka Stefi, ale to nieprawda.

— Kto panią o to prosił? Poco pani to mi opowiada? Moja córka nie potrzebuje wysłuchiwać czegoś podobnego! Moja córka jest narzeczoną i wkrótce ma być jej ślub! — unosiła się coraz bardziej pani Zierska, zrozumiawszy trochę, a resztę domyśliwszy się ze słów Amerykanki, co oznaczają te niesktadne słowa. Zrozumiała też, co oznacza płacz Teci, w której odżyła dawna miłość. Pani Zierska z przerażeniem spostrzegła, że gmach szczęścia córki, wznoszony z takim trudem, wbrew tylu przeciwnościom, teraz sypie się znów w gruzy. Była poprostu wściekła na nieproszonego gościa, któremu przypisywała całą winę.

— Niech pani w tej chwili opuści nasze mieszkanie!... Kto panią upoważnił do tych zwierzeń, które nie obchodzą ani mnie ani moją córkę?!... Nasza znajomość z panem hrabią jest zerwana ostatecznie!... Nie chcemy go więcej widzieć pod swoim dachem!... Dość już krzywd nam narobił!... Proszę nas zostawić w spokoju!... Nie chcemy żadnego porozumienia z jego kochankami!...

Mary Young niezupełnie rozumiała, co wykrzykuje pani Zierska. Widziała tylko, że się gniewa, że jej drżą ręce, któremi wymachuje coraz energiczniej, że gniew ten spada na nią, o czem świadczyły złe spojrzenia, rzucane na zdumioną dziewczynę.

— Niech mama przestanie krzyczeć! — odezwała się wreszcie przez łzy Tecia. — Czego mama krzyczy na tę panią!... Co ona tu winna?... Co ona winna, że życie sprawia mi tyle przykrości, że ja robię ludziom tyle strapień!... Ja nie kocham Zygmunta, ja nigdy nie wyjdę za niego!...

— Coś powiedziała?! — pani Zierska z krzykiem chwyciła obu rękami ramiona Teci i potrząsnęła niemi.

— Nie wyjdę, nie wyjdę!... — płakała Tecia, zanosząc się od łkania.

Mary Young patrzyła, nie rozumiejąc, na całą tę scenę.

Ponowny terkot dzwonka zagłuszył głos pani Zierskiej.

D. c. n.

Marzec
31
Niedziela
Balbiny

KRONIKA KRAKOWA

Ze sportu

Afera łapówkowa

Jak się dowiadujemy, Zarząd KOZPN. prowadzi dochodzenie przeciwko kilku znanym w sporcie krakowskim działaczom, w związku ze słynną sprawą przekupstwa drużyny Wieliczanki przez jeden z klubów krakowskich klasy B.

Jak już podawaliśmy, klub ten przekupił Wieliczankę kwotą zł. 100 wzamian za podłożenie się w meczu o mistrzostwo w roku ubiegłym. Wieliczanka pieniądze wzięła — mecz jednak wygrała a swoją drogą doniesienie do K.O.Z.P.N. zrobiła.

O mistrzostwo klasy A.

Zawody o mistrzostwo klasy A, Krowodrza—Zwierzyniecki odbędą się dziś o godz. 11-tej na boisku RKS. Legja

O mistrzostwo klasy B.

Dziś o godz. 10.30 odbędą się na boisku ZFG przy ul. Mogilskiej zawody piłkarskie o mistrzostwo klasy B. pomiędzy klubami fabrycznemi K. S. Kabel i ZFG.

Dziecko wypadło z I. piętra

Dota Irena, żona urzędnika, zamieszkała przy ul. Filareckiej 9, wychodząc wczoraj z mieszkania do sklepu, pozostawiła w mieszkaniu śpiącą córeczkę 3-letn. Barbarę, która przebudziwszy się otworzyła okno i wypadła z I. piętra na chodnik.

Dziecko z powodu wypadnięcia doznało lekkich obrażeń na ciele.

Uśmierciła pacjentkę

Na ławie oskarżonych w sądzie okręgowym karnym w Krakowie zasiadła wczoraj Jadwiga z Kowalów Krupowa wdowa z Luboczy, której akt oskarżenia zarzuca:

Że w dniy 17 czerwca ub. roku w Luboczy nie będąc uprawnioną akuszerką udzieliła pomocy przy porodzie Zofji Kołowej, zaniedbując wszelkie środki ostrożności spowodowała śmierć Kołowej.

Rozprawę odroczono celem przesłuchania świadków.

Rozprawie przew. s. o. dr. Wasilewski osk. prok. Dulęba.

Rewolwerowa rozprawa między małżonkami

W Zakroczyniu między zamieszkałymi tam małżonkami Stanisławem i Janiną Wiśniewskimi dochodziło często do nieporozumień i awantur. Niejednokrotnie Wiśniewska odgrażała się, że zamorduje męża.

Wczoraj Wiśniewska wystrzeliła trzykrotnie z rewolweru do męża, lecz wszystkie kule chybiły, jedna tylko przebiła Wiśniewskiemu marynarkę nie raniąc go. Wiśniewski udał się na posterunek policji, gdzie zameldował o zamachu na życie. Policja aresztowała Wiśniewską i osadziła w areszcie do dyspozycji sędziego śledczego na pow. warszawski.

Trzy osoby żywcem spalone podczas pożaru

Wczoraj w nocy o godz. 1-szej wybuchł straszny pożar we wsi Raciborowicach k. Krakowa.

Pożar powstał w domu niejakiego Bąmbali, w którem mieszkała Julja Ciepielowa wraz z 14-letnim synem Władysławem i 4-letnim Józefem.

Wczasie powstania pożaru wszyscy domownicy byli pogrążeni w głębokim śnie.

Pożar przerzucił się momentalnie na sąsiedni budynek gospodarza Pawła Rusinka, który obudziwszy się wszczął alarm.

Nim jednak zdołano zapobiec rozszerzeniu się pożaru, runął dach domu Bombali grzebiąc pod sobą matkę Ciepielową oraz dwoje dzieci, którzy żywcem zostali spaleni.

Dochodzenia celem wyświetlenia powodu pożaru prowadzi P. P.

Restaurator z Podgórza na ławie oskarżonych

Sąd karny w Krakowie rozpatrywał wczoraj sensacyjną sprawę małżonków Łosiów którzy odpowiadali za podstępne wyłudzenie podpisu na wekslach oraz pobicie.

Na ławie oskarżonych zasiadł Paweł Łoś, lat 44. właściciel restauracji w Podgórzu przy ul. Zabłocie 45 oraz jego żona Anna lat 37.

Tło sprawy przedstawia się następująco:

We wrześniu ubiegłego roku kupił osk. Łoś sklep od Michała Woźniaka który miał otrzymać gotówkę, oraz pozostałą resztę w towarze.

Pewnego dnia poszkodowany Woźniak przybył do restauracji Łosia który widząc że Woźniak pijany jest do nieprzytomności, podsunął mu weksel na kwotę 3.000 zł. i namówił go do podpisania.

Gdy Woźniak po chwili oprzytomniał i żądał z powrotem weksli, małżonkowie pobili Woźniaka i wyrzucili go za drzwi.

Oskarżeni do winy się nie przyznają.

Rozprawę odroczono celem przesłuchania świadków.

Rozp. przew. so. dr. Wasilewski, osk. prok. dr. Dulęba.

Proces karny kupcowej z ul. Długiej

Przed sądem okr. karnym w Krakowie przed sędzią dr. Zalipskim zasiadła na ławie oskarżonych kupcowa Teofila Witkay-Miechowska. Kupcowa oskarżona jest o sprzeniewierzenie na szkodę szeregu kupców.

Osk. Miechowska prowadziła w roku 1934 sklep, biorąc od Czerwiklitzera, Abrahamera i Leopolda Bertla towary na kredyt.

W marcu 1934 r. sprzedała sklep spożywczy przy ul. Długiej 84 zapewniając kupców, że po uzyskaniu gotówki dług wyrówna.

Oskarżona nie tylko że dług nie wyrównała ale oświadczyła że pieniędzy nie zwróci bo potrzebuje na inne cele i ukrywała się by ją nie znaleziono.

Celem przesłuchania świadków rozprawę odroczono.

Bronił adw. dr. Jan Bardel.

Nadużycia sekretarza sądu

W Stanisławowie rozpoczął się proces przeciw Alfonsowi Rymskiemu, sekretarzowi Sądu grodzkiego w Sołotwinie, oskarżonemu o szereg oszustw.

Mając dostęp do aktów pupilarnych w latach 1933-34 Rymski wygotował bezprawne postępowania, zaopatrując je sfałszowanemi podpisami prezesa Sądu w Sołotwinie Bilińskiego i sędziego Zielińskiego. Na podstawie sfałszowanych postanowień przekazywał Rymski różne kwoty z depozytów rzeczowych pod adresem osób, z którymi pozostawał w porozumieniu kwoty te następnie od tychże osób odbierał.

Oprócz Rymskiego odpowiadają przed sądem jego żona Tekla, Stanisław i Joanna Jaworscy ze Stanisławowa.

„Nieboszczyk" zdrów i cały wrócił po pogrzebie do swego domu

We wsi Natorowo znaleziono w lesie na drzewie zwłoki powieszonego mężczyzny. W kieszeniach denata znaleziono rozmaite kwity i wezwania wystawione na nazwisko Walentego Koszarawy ze wsi Kazimierz w powiecie szamotulskim.

Zwrócono się do tamtejszego posterunku, który stwierdził, że Koszarawa rzeczywiście jeszcze w sobotę wyjechał do Poznania i nie wrócił. Wisielca pogrzebano jako Koszarawę, zawiadomiono o tem zrozpaczoną rodzinę.

Tymczasem niespodziewanie wczoraj Koszarawa, opłakany już przez najbliższych, powrócił do domu cały i zdrów. Okazało się, że zgubił portfel i to było przyczyną przedłużenia pobytu w Poznaniu. Portfel znalazł widocznie człowiek noszący się z zamiarami samobójczymi i włożył sobie dokumenty Koszarawy do kieszeni, aby nie można stwierdzić jego identyczności.

Tragiczna śmierć ucznia w szkole

Przy ul. Mińskiej w Warszawie uczeń szkoły powszechnej 9-letni Ryszard Wołosiak, po przyjściu do gmachu szkolnego na popołudniowe wykłady, nie udał się, jak zwykle do szatni w suterynie, lecz poszedł na klatkę schodową i tam (na wysokim parterze) przechylił się przez niską stosunkowo do wzrostu uczniów poręcz, stracił równowagę i spadł z wysokości 3-ch metrów, uderzając głową o posadzkę kamienną. Lekarz pogotowia stwierdził u Wołosiaka pęknięcie podstawy czaszki, oraz potłuczenia czoła. Ofiarę własnej nieostrożności przewieziono do szpitala, gdzie zmarł.

Morderstwo rabunkowe

Wczoraj w nocy dokonali nieznani sprawcy napadu rabunkowego na dom Maksyma Benzela zamieszkałego na futorze Strzelce, pow. lubomelski. Napastnicy zamordowali Benzela i dom obrabowali. Narazie brak bliższych szczegółów. Zarządzony natychmiast pościg jest na tropie sprawców.

Nocny dyżur lekarzy

Dr. Böhmerwald Henryk Długa 41. Dr. Glasner Ignacy Sebestjana 3. Dr. Kasiera Tadeusz Osiedle Ofic. 54. Dr. Walewski Stanisław Łobozwska 27.

Odgryzł szwagrowi palec

W Zagorzu pod Sosnowcem pomiędzy szwagrami 38-letnim Wojciechem Filipczykiem, a 30-letnim Dominikiem Nowakiem, od dawna istniały nieporozumienia rodzinne, które często doprowadzały do gorących kłótni i bójek.

Pewnego razu szwagrowie znowu się pobili, przyczem rozwścieczony Filipczyk odgryzł szwagrowi palec, a następnie, wyciągnąwszy nóż, pokrajał mu całą twarz. Skutkiem rany od ukąszenia, Nowak musiał poddać się operacji, w czasie której amputowano mu dwa palce.

Teatr miejski pop. „Pięć przed dwunastą" wiecz. „Moralność pani Dulskiej

Repertuar kin krakowskich

Adria: „Wybuchowa blondynka" oraz „Przygody o północy".
Apollo „Tajemnica małej Shirley".
Atlantic „Teraz i zawsze" oraz „Pieśń kozaka".
Bagatela: „Człowiek który zabił" i rewja „Serwus Aspiryna".
Dom żołnierza „Nie będziesz kurtyzaną".
Muzem „Jarmark i miłość". oraz „Wesoły karnawaniarz".
Promień: „Karioka" i „Mis Flora".
Sokół „Szpieg w masce".
Słonko „Szatański plan" i „Wesoła Charlatta".
Świt „Audencja u cesarza w Ischlu"
Sztuka: „Azef".
Uciecha „Zuzu".
Wanda: „Wesoła wdówka".
Zorza: „Pieśniarz Warszawy' i „Pionierzy Texasu".

Radjo

Kraków G. 10.30 Nabożeństwo z Warszawy 11.57 Hejnał 12.03 Transm. z Warsz. 12.05 przegląd teatralny 12.15 Transm. z Warsz. 14.00 Muzyka 15.00 „Janosikowa śpiewka" 15.15 Kapela ludowa 15.22 Transm. z Warsz. 15.35 Piosenki 15.45 Transm. z Warsz. 18.00 Transmisja z zawodów pływackich 19.00 Muzyka 19.45 Transm. z Poznania i Warsz. 21.45 Wiadom. sportowe 22.05 Koncert 22.15 Transm. z Warsz.

Nocny i dzienny dyżur aptek

Apteka pod Złotą Koroną Rynek gł. 22, pod Gwiazdą Florjańska 15, pod Opatrznością Karmelicka 23. Warszawska Aleja 29-go Listopada 17, pod Aniołem Dietla 76.

Apteka Podgórska Rynek 9.

Dzienny dyżur aptek

Apteka pod Słońcem Rynek A—B 43, pod Eskulapem Gertrudy 1, pod Matką Boską Krowoderska 74, w Dębnikach Konopnickiej 3, pod Złotym Orłem Krakowska 9, Mogilska 16.

Apteka Podgórska Rynek 9

Tajemnicze zwłoki samobójcy

W lesie na terenie gminy Dubie znaleziono onegdaj zwłoki mężczyzny, który popełnił samobójstwo strzelając z browninga marki „Mauser" Nr. 402376 kal. 7.65 w prawą skroń.

Opis zwłok: lat około 30 do 35, wzr. 174 cm postać wysmukła, dość silnej budowy ciała, twarz podłużna, włosy blond strzyżone maszynką, rzadkie brwi c. bl. gęste łukowate, nos krótki, prosty, u nasady wklęsły oczu nie zdołano stwierdzić gdyż te uległy już rozkładowi, usta średnie, zęby zdrowe, nierówne, czoło wysokie, broda szeroka, zarost nieco rudawy, znaków szczególnych nie stwierdzono, ręce normalne, w rozkładzie częściowym, nogi normalne.

Wiadomości zmierzające do ustalenia tożsamości samobójcy należy kierować do Wydziału Śledczego w Krakowie.

Krwawy dramat przy ul. Lubicz

W sobotę wieczorem Pogotowie ratunkowe wezwane zostało na ul. Lubicz, gdzie bezrobotny Roman Klaidisch po kłótni z żoną, pociął sobie piersi brzytwą i poderżnął gardło. W ciężkim stanie przewieziono go na oddział chirurgiczny szpitala św. Łazarza.

Tajemnicze zaginięcie służącej

Dnia 1. marca zaginęła w tajemniczy sposób 21.letnia służąca Eleonora Comberówna, zajęta u Klingerów przy ul. Bonarka 6, która pozostawiła w mieszkaniu rzeczy i swoje pieniądze i znikła z domu.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków ul. Na Gródku 2 — Telefon 173-02 (od godz. 8—11 w poł.)

CENY OGŁOSZEŃ: w Kronice krakowskiej cała strona 800 zł., pół strony 500 zł. i wiersz mm. 50 gr. Drobne 15 gr. za wyraz

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca Alfred Kwiatkowski Drukarnia „Monopol" Kraków Na Gródku 2. Telefon Nr. 173 02